



WANDA ODOLSKA

Warszawa, 20 maja 1946 r.

Do

Ob. Prokuratora, badającego zbrodnię niemiecką, popełnioną na mężczyznach
w pierwszych dniach sierpnia 1944 roku w alei Szucha.

Zeznanie

Wandy Odolskiej, zam. przy ul. Grochowskiej 277 m. 23, zatrudnionej w Polskim Radio,
ul. Koszykowa 8

W pierwszych dniach sierpnia 1944 roku z domów palonych przez Niemców ludność
została wypędzona na ulicę. Po odłączeniu mężczyzn, kobiety popędzono w aleję Szucha
do gmachu gestapo.

Dla uzupełnienia obrazów znanych Komisji Badania Zbrodni Niemieckich stwierdzam, jako
przebywająca w gestapo od 5 sierpnia godz.10.00 rano do 6 sierpnia godz.12.00, że ogólna
liczba kobiet w tym czasie przebywających w gestapo wynosiła ok. tysiąca. Doprowadzanie
kobiet trwało przez całą dobę, nawet w nocy. Partia „moja” została początkowo ustawiona
na rogu Litewskiej i Marszałkowskiej w grupę i objęta celownikiem dwóch, stojących na
rogach, karabinów maszynowych. Trzymano nas tak około pół godziny. Kobiety spodziewały
się masowej egzekucji. Nie doszło do niej przypuszczalnie dlatego, że jakiś zdenerwowany
Niemiec przybiegł od strony gestapo, powiedział coś obsłudze karabinów maszynowych
i w naszą stronę machnął pejczem.

Wyprowadzeni razem z nami mężczyźni zostali na Marszałkowskiej przed domami 35,
33 i 31. Po stronie przeciwnej, na chodniku, leżeli twarzami do ziemi mężczyźni wypędzeni
widocznie wcześniej, z innych domów o niższej numeracji. Mężczyźni ci byli bici po głowach
kolbami karabinów, walizkami, deskami. To był ostatni widziany przeze mnie obraz mężczyzn
tej grupy, której los dotychczas jest nieznan.

Partia, w której szłam, przez całą drogę do alei Szucha obrabowywana była z zegarków,
obraczek, klejnotów, obsypywana wyzwiskami i potrącana. Istniał widocznie zamiar
zgładzenia nas, ponieważ własowiec, który wyszarpał mi z ręki smycz z psem, powiedział:

„Na co ci pies, cholero, tobie już w ogóle nic nie potrzeba”. Inny własowiec, zapytany o los mężczyzn, oświadczył „Z wami, jak z wami, ale z tymi bandytami, to my się rozprawimy!”.

Na istniejący pierwotnie zamiar zgładzenia nas wskazywałoby także kilkakrotne wywoływanie obywaterek, posiadających dokumenty zagraniczne i volksdeutschek. W rezultacie jednak volksdeutschek nie wydzielono spośród nas, co znów mówiłoby o raptownej zmianie zamiaru.

Przed wejściem do gestapo siedziałyśmy na ziemi trzy czy cztery godziny. W tym czasie własowcy gdzieś znikli (zapewne „zajęli” się mężczyznami). Przed gmach zajęchały cztery czołgi, Niemcy zaczęli wyciągać [z tłumy] kobiety za ręce. Ustawiono je w dwa szeregi po sześć do ośmiu przed i za każdym czołgiem. Ponadto około 10 kobiet ustawiono na każdym czołgu. Szczegółem, o którym nie mówi Komisja w sprawozdaniach, ogłaszanych w radio i prasie, jest fakt, że między ustawione na czołgu kobiety weszli mężczyźni gestapowcy, przebrani za kobiety – w pończochach, w futrach, w paltach, każdy w hełmie, owiniętym szalikiem. Polki służyły za żywą osłonę, przebrani gestapowcy z rewolwerami w ręku pilnowali obok osłony i przeznaczeni byli widocznie na desant wypadowy w razie zdobycia barykady.

Po powrocie czołgów z „wyprawy” powiedziano nam: „ – Dzisiejsza akcja się nie udała, następne jutro.” – i wprowadzono na dziedziniec gestapo, gdzie spędziłyśmy noc. Przed gmachem leżała kilkupiętrowa góra koksu. Długi dziedziniec z jednej strony miał podziurawiony kulami ekran drewniany, z drugiej strony – strzelnicę. W środku na ziemi stał spalony, zardzewiały karabin na trójnogu, obok – dużo łusek. Grunt na dziedzińcu był miękki, czarny, elewacja wypukła. Podwórko wyglądało, jak gdyby świeżo przekopane. Przedtem musiał tu być ogród warzywny, na co wskazywał rosnący na brzegu jedyny krzak dyni. Bluszcz na gmachu opalony był do pierwszego piętra. Z ziemi, z głębokości kilku centymetrów, wygrzebałam kilka guzików blaszanych, skuwkę od podwiązek i od szelek, kawałek szczęki z dwoma zębami.

Na drugi dzień (6 sierpnia) o godz. 12.00 ustawiono nas w czwórki i wygłoszono do nas następujące przemówienie: „Nasze posterunki nie będą za wami strzelały do pl. Zbawiciela. Idźcie do swoich bandytów i powiedzcie im, żeśmy się z wami dobrze obchodzili”.

Na pytanie, dokąd mamy iść, odpowiedziano „ – Idźcie do cholery! Nasze Niemcy także mogą się żywcem palić, to i wy możecie”. A na pytanie, co się stało z mężczyznami: „Wróć, pójść tylko z nami na robotę”. Mimo zapowiedzi zostaliśmy ostrzelane z tyłu i z boku na odcinku Marszałkowskiej.

W oknach i drzwiach spalonej apteki Anca (Marszałkowska 21) widziałam męskie głowy, trupy, ułożone warstwą aż pod sufit, zwrócone głowami prostopadle do ulicy.

Moje poszukiwania, ogłoszenia i kontakty z kobietami tej dzielnicy nie dały żadnego rezultatu. Wszelki ślad po mężczyznach zaginął. Według moich prowizorycznych obliczeń liczba mężczyzn, wypędzonych z tej dzielnicy od 1 do 5 sierpnia włącznie, wynosić musiała ok. 20 tysięcy.

Osobiście głęboko jestem zainteresowana losem tej grupy, w której zginął mój mąż (Jan Odolski, lat 39) i ojciec (Tadeusz Skrzypiciel, lat 71), obaj zabrani z Marszałkowskiej 33. Proszę o wzięcie pod uwagę szczegółów, jak widzę z ogłaszanych sprawozdań – nieznanych, a za których prawdziwość ręczę słowem honoru, zdając sobie ponadto sprawę, jako dziennikarka, z wagi słowa wypowiedzianego.

Około 10 sierpnia do powstańczego szpitala róg Mokotowskiej i Jaworzyńskiej, dokąd dotarłam po wypuszczeniu mnie z gestapo, przyszła grupa księży i sześciu mężczyzn cywilnych – wszyscy w nastrojach panicznych. Wypuszczeni zostali z gestapo. Księża wypuszczeni zostali ze względów propagandowych. Nazwiska księży, wziętych z parafii kościoła Zbawiciela tego samego dnia co moi bliscy, tzn. 5 sierpnia: ks. ks. Pogorzelski, Fulde, Cegłowski, Włodarczyk, Długolecki. Interesowało mnie, dlaczego tych kilku mężczyzn zostało wypuszczonych i co zrobiono z resztą. Jeden był niedołążnym starcem, nazywanym pułkownikiem. Drugi powiedział, że – skoszarowany od lipca – malował ściany w gestapo i został zwolniony jako w sposób oczywisty niebiorący udziału w powstaniu. Trzeci – o dziwnie „gestapowskiej” twarzy – podobno był kreślarzem, zatrudnionym tak samo. Czwarty – ogrodnikiem. Piąty – mętna figura – opowiedział, że mężczyzn trzymano w celach w podziemiach gestapo, po 160 w jednej, tak że nawet usiąść nie było można i że wyprowadzano ich po jednym. Każdy musiał trzymać w jednym ręku dokumenty, w drugim pieniądze i kosztowności. Na zapytanie, jaki im los zgotowali, informator mój machnął ręką bardzo po desperacku. Szóstym był młody lekarz stomatolog, dr Kałużny, który teraz mieszka w Poznaniu. Zna go blisko spikerka Polskiego Radia Aleksandra Koziarska. Doktor ten zachowywał się – według mnie – dziwnie i nie chciał nic mówić. Gdy go spotkałam w roku ubiegłym przed lokalem radia i prosiłam o wyjaśnienie znanych przez niego niewątpliwie faktów, był bardzo zmieszany i powiedział, że nic nie wie. Na zapytanie, dlaczego został, jako nieliczny wyjątek zwolniony – powiedział, że uciekł, co jest niezwykle

mało prawdopodobne. Ob. Koziarska (która adresu dr. Kałużnego podać nie chce) na moje długie prośby i apelacje do uczuć społecznych wyjaśniła, że dr Kałużny wykazał się przed Niemcami jakąś usługą, którą wyświadczyła im jego matka.

Wiem poza tym, że uratował się, zabrany tego samego dnia z Marszałkowskiej 31 inż. Plebański (mieszkający do niedawna na ul. Teresy, obecnie na Frascati). O Plebańskim mieszkańcy Marszałkowskiej twierdzą, że pozostawał zawsze w bardzo dobrej komitywie z Niemcami, z którymi handlował. Inż. Plebański został podobno zwolniony z gestapo dlatego, że poznał go w alei Szucha niemiecki szofer, który woził do majątku inżyniera w Grójcu Niemców na polowania.

Księża, spośród których Pogorzelski i Długolecki są obecnie w kościele Zbawiciela, powiedzieli, żeby „kobiety się nie łudziły – wszyscy zginęli”. Ale szczegółów albo nie znają, albo nie chcą ujawnić. Wiem poza tym, że uratował się Marek Korganow jako Gruzin i nieletni (14 lat). Tego „lepiej traktowanego” cudzoziemca, odłączonego od razu od całej grupy, ojciec jego wyciągnął po kilku miesiącach z Oświęcimia. Matka chłopca, Władysława Korganow, prowadzi pensjonat w Sopocie albo w Gdańsku. Na liczne moje listy rodzice odpowiadali lakonicznie i informacji nie udzielili.

Uważam za swój obowiązek podać te fakty, ponieważ uważam, że osoby wymienione przeze mnie są niewątpliwie w stanie dostarczyć wielu szczegółów, które przyczynią się do wyjaśnienia tej największej i najbardziej tajemniczej zbrodni, popełnionej przez Niemców w czasie powstania.

Osobistym moim wrażeniem jest, że – poza księżmi – zostali zwolnieni tylko ci mężczyźni, którzy wykazali się „wysługami” wobec Niemców. Zdaję sobie jednak sprawę z wagi tego oświadczenia, opartego na niekompletnych faktach i licznych, ale drobnych relacjach. Zdaję sobie ponadto sprawę, że jako osoba zainteresowana mogę ulegać pewnemu wypaczeniu sądu, którego akcentem ubocznym jest jednak osobiste uczucie pewnej zazdrości, że ci żyją, a mój mąż – nie. Zdając sobie z tego sprawę, że powszechna szeptana przez osierocone kobiety opinia o tych zwolnionych może krzywdzić tych ludzi niesprawiedliwie, upraszam o łaskawe zbadanie wymienionych ludzi, jako jedyńskich żywych świadków.

Jeszcze jednym faktem, wartym wzięcia pod uwagę, jest okoliczność, że ostatnie miesiące ujawniły istnienie zwłok kilku mężczyzn z tej samej grupy (Marszałkowska 33),

które wykopano w alei Piłsudskiego. Na zwłoki natrafiono przypadkowo i poznano po dokumentach ciała Tadeusza i Kazimierza Zaniewskich, Henryka Siwka, Franciszka Zaremby. Podobno zostali zastrzeleni na miejscu, ponieważ usiłowali uciekać na ulicy. Nie udało mi się stwierdzić, kto tę ucieczkę widział. Janina Zaniewska, żona i matka, pracuje w dyrekcji kolejowej w Poznaniu.

Faktem, na który pozwalam sobie zwrócić uwagę, jest to, że w oglądanych przeze mnie w popiołach w gmachu b. Głównego Inspektoratu Sił Zbrojnych widziałam wiele drobnych przedmiotów: spalone nożyczki, klamry od pasków, futerały od okularów, blaszane pudełka używane do tytoniu. Przesianie tego popiołu mogłoby dać poważny materiał dowodowy. Mąż mój na przykład miał zakutą na prawym ręku bransoletkę, łańcuch pancerny, żelazo – niewartościowe w sposób tak oczywisty, że nikt mu tego na pewno nie zdejmował. Ja noszę na ręku identyczną bransoletkę. Moja ma 26 ogniwek, męża – zdaje się – 32. Znalezienie tej bransoletki byłoby nie tylko dowodem śmierci męża, ale świadczyłoby o śmierci całej grupy.

Przebywająca wraz ze mną w gestapo ob. Krystyna Znatowicz (zam. obecnie przy ul. Marszałkowskiej 4) zdobyła informacje, które na własną rękę stara się uzupełnić, że podobno nasza grupa kobieca tylko dlatego nie została spalona, ponieważ ruszty w GISZ-u były już zatłoczone nadmiarem popiołów. I że między obsługą techniczną pieców a gestapo istniał tego dnia, gdyśmy tam były, na ten temat spór. Obsługa pieców już podobno od 4 sierpnia nie paliła ludzi. Ob. Znatowicz natrafiła na ślad instytucji, która jest w posiadaniu materiałów dowodzących, że tak istotnie było.

Z rozmów z kobietami, które spędziły wraz ze mną dobę (5 – 6 sierpnia) na dziedzińcu gestapo, wnioskuję, że poza mężczyznami z ulicy Marszałkowskiej na odcinku pl. Zbawiciela – pl. Unii zostali wzięci w tym samym czasie do gestapo mężczyźni z al. Przyjaciół, Koszykowej, Oleandrów i z ich przecznic. Ponieważ palenie mężczyzn w gestapo odbywało się od 1 sierpnia, przypuszczam, że do 5 sierpnia spalono ok. 20 tysięcy ofiar.

W GISZ-u – zupełnie niezabezpieczone – znajdują się dwie tony popiołów. Wiem dokładnie, że popiół ten jest „szabrowany” bezkarnie kubłami i wypłukiwany wodą w poszukiwaniu złota z zębów. Jednocześnie giną poniewierające się drobne przedmioty. Poza bezczeszczeniem tych prochów, odbywa się więc bezkarne zacieranie śladów. Cała prasa warszawska pisała o tym niejednokrotnie, a i ja niejednokrotnie mówiłam na ten temat

w radiu. Upraszam o zarządzenie przesiania popiołu. Uważam, że tej pracy chętnie podejmą się i uczciwie ją wykonają najbardziej zainteresowane – żony i dzieci tych nieszczęsnych.

Składając na ręce ob. Prokuratora te fakty, z których ja, aczkolwiek zainteresowana głęboko, nie jestem w stanie zmontować pełnego obrazu, ponieważ nie mam żadnego prawa badać ani apelować do wymienionych mężczyzn (zwłaszcza dr. Kałużnego i inż. Plebańskiego) o złożenie wyjaśnień. Zdaję sobie sprawę, że materiał dostarczony przeze mnie stanowić może poważne ślady, o ile zostanie przebadany przez uprawnionych do tego nie w imię bolesnej ciekawości osobistej, ale w imię prawa.

Upraszam o wezwanie na przesłuchanie mnie i matki mojej, która dzieliła moje losy (Anna Skrzypiciel, ul. Grochowska 277 m. 23) i która zna, jako stara mieszkanka domu Marszałkowska 33, wiele nazwisk mężczyzn, którzy zginęli w gestapo, oraz kobiet, które ocalały, i z których każda niewątpliwie zna również jakieś drobne fakty, naświetlające sprawę.

Składam głęboką prośbę o zbadanie tej największej co do ilości ofiar i najbardziej tajemniczej zbrodni niemieckiej, popełnionej na cywilnych mężczyznach w czasie powstania.

Z poważaniem
Wanda Odolska